Nr. 30. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 27 lipca 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Szkoły i wychowanie w Polsce.

Przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów

napisał

Alfred Szczepański.

(Ciąg dalszy.)

Szkoły średnie.

Akademja krakowska, będąca przez długi czas jedyném studjum generale, wyrabiała sobie na mocy swoich przywilejów i nadań stanowisko uniwersytetu centralnego, niejako ministerjum oświecenia — i zaprowadziła pod względem szkół (drugorzędnych, wyższych) średnich system zależnych od niéj kolonji czyli filji. Powstawały one z funduszów własnych akademji, z fundacji prywatnych i miejskich (gminnych). Akademja miała je pod swoim zarządem i wysełała do nich na nauczycieli swoich uczniów duchownych i świeckich. — Takie kolonje miała już akademja w Pułtusku, w Poznaniu, Lwowie, Elblągu, Toruniu, Wilnie, Kłodawie, Przemyślu, Gnieźnie... Plan nauk w nich był ten sam, co i dawniéj w szkołach tego rodzaju, prócz, że w niektórych uczono i greckiego języka.

Reformacja przyczyniła się do wzrostu liczby szkół (lubo właściwie dopiéro w następnéj epoce). Protestanci zakładali swoje osobne szkoły wyższe, jak w Koźminie, Łańcucie, Pińczowie, Secyminie. I tutaj było główną rzeczą wyznanie, lecz nieco odmienne było ich urządzenie. Klas bywało 4, lepsze książki wykładowe, a co najważniejsza, że uczono w nich po polsku (o niemieckich patrz niżéj), czego inne szkoły długo jeszcze nie przyjęły. Protestantom szło bowiem o przysposobienie sobie dobrych kaznodziei i dysputatorów, zdolnych do pozyskiwania prozelitów.

Charakter duchowny szkół sprawiał, że aż do Zygmunta Augusta nie było wcale seminarjów teologicznych, gdyż księża kształcili się dostatecznie do swojego zawodu w szkołach zwyczajnych, w nowicjatach zakonnych i w akademji krakowskiéj.

Szkoły początkowe.

Szkoły miejskie i parochjalne mnożyły się w téj epoce. W Krakowie były już trzy przedmieściowe. Urządzenie ich i nazwy były te same co dawniéj, nauczycieli było wielu cudzoziemców, nie umiejących po polsku. Powstawały téż liczne bursy dla żaków. Kierownictwo szkół tych miało w swojém ręku duchowieństwo, a jeżeli magistrat zarządzał, pleban nadzorował.

Co do szkół początkowych wiejskich najmniéj jest pewnych śladów. Łukaszewicz utrzymuje wprawdzie, „że od Zygmunta I prawie w każdéj parafji była szkoła", niema jednak wcale danych, do sprawdzenia tak śmiałego twierdzenia, stojącego w sprzeczności z całym duchem dziejów państwa polskiego. — Na Litwie od czasu połączenia jéj z Polską pojawiały się tu i owdzie szkoły, na Rusi niema jeszcze śladów.

We wszystkich szkołach początkowych używano języka niemieckiego, polskiego i litewskiego.

O początkowych szkołach żydowskich tyle tylko można powiedzieć, że po mniejszych szkółkach przy synagogach dzieci żydowskie otrzymywały pierwsze zasady czytania i pisania — zapominane w późniejszym wieku.

W ogóle o oświacie ludu nie można prawie

mówić. Ustawy i ustrój społeczny narodu utrudniały ją; nie było nikogo, ktoby się o to troszczył, lud zaś sam choćby był i chciał, nie byłby mógł. Lecz nieznający światła nie tęskni za nim — i dla tego to bez przymusu naukowego w żadném państwie nie ogarnie oświata wszystkich warstw społecznych.

Szkoły żeńskie.

Znajdujemy już w téj epoce niejakie ślady co do wychowania dziewcząt. Niektóre szkoły miejskie stawały się mieszanemi. W murach zaś Benedyktynek powstawały pierwsze szkoły młodzieży żeńskiéj w Polsce. Również po klasztorach Franciszkanek, Dominikanek, Cystersek uczono katechizmu, czytać, pisać i nieco robót kobiécych.

Protestanci zakładali szkoły żeńskie od r. 1550. W r. 1553 była w Poznaniu nauczycielką szkoły żeńskiéj Prakseda, należąca do wyznania braci czeskich.

Zaczynały już pojawiać się szkoły prywatne, a musiało też być i wielu nauczycieli domowych (Niemców i Polaków) skoro przed jednemi i drugiemi odezwy synodów katolickich ostrzegają. Szło bowiem duchowieństwu o dzierżenie w swojém ręku wyłącznie kierunku i wymiaru oświaty.

Epoka III — jezuicka.

Od roku 1564 do 1740.

Ogólny charakter — zasady.

Sprawa liczby szkół, ale jeszcze nie sprawa oświaty i wychowania, postąpiła bardzo w téj epoce przez wprowadzenie kolegjów Jezuitów i szkół Pijarów.

Wolność nauczania z poprzedniemi ograniczeniami trwa daléj w zasadzie, ale ją ścieśniają coraz nowe przywileje, zakazy z powodów religijnych i wzajemne zawiści akademji i zakonów, chcących wychowanie w swojém ręku zmonopolizować. Szkoły są niepodległe, władzy szkolnéj państwowéj nie ma jeszcze, państwo w ogóle i nadal sprawą wychowania się nie zajmuje — z wyjątkiem szkoły wojskowéj. Całe wychowanie zostaje w ręku uprzywilejowanych akademji czyli duchowieństwa; jak ze strony państwa, tak ze strony w ogóle świeckiego społeczeństwa nikt o szkołach nie pamięta. Wszelkie świeckie fundacje przechodzą w ręce duchowieństwa.

Emulacja akademji z Jezuitami, Jezuitów z Pijarami, wszystkich z różnowiercami, wyradza się w zaciętą kłótnię, trwającą półtora wieku. Nigdy nie było w Polsce tyle wrzawy, procesów, zatargów, ekscesów w sprawie szkół co teraz — ale były to spory czysto chlebowe; oświata nic na nich nie zyskała, pomimo, że mnóstwo przybyło szkół — owszem oświata warstw zamożniejszych, w ogóle szlachty, zostająca wyłącznie w ręku Jezuitów, upada coraz więcéj. Skutkiem przytępiającego umysły wpływu szkół krajowych, ginęło nawet poczucie potrzeby oświaty. Za tém poszło, że zwyczaj wyjeżdżania na uniwersytety zagraniczne, w téj epoce po części całkiem ustaje, po części spaczony przyjmuje kierunek.

Szermierki ustne i piśmienne z protestantami pociągnęły za sobą również, jako jedyny przemijający skutek, wzrost liczby szkół, lecz nie ich wartości. Wszystkie one służyły ciągle odrębnym, nienaukowym celom. Nie było ani jednéj katolickiéj, protestanckiéj lub żydowskiéj szkoły, któraby dawała istotne obywatelskie wykształcenie, odpowiednie potrzebom kraju i stojące na wysokości postępu nauk w innych krajach.

W jednostronnym zapale dostarczania prawowiernych wyznawców i szermierzy, zapomniano zupełnie o wychowaniu początkowém. Zaniedbanie i ciemnota ludu wiejskiego odbija rażąco od znacznéj już liczby szkółek.

System ówczesny jednę przynajmniéj dobrą stronę przedstawia, mianowicie, że po szkołach zakonnych wielka była dbałość o wychowanie fizyczne i zdrowa młodzież z nich wychodziła. Były to butne i zuchwałe, a ciemne i zabobonne junaki szlacheckie.

Wychowanie dziewcząt ledwo się poczyna.

W sporach o prawo do zakładania i utrzymywania szkół wygrała akademja krakowska, popierana przez dysydentów przeciw Jezuitom. Na mocy wyroków bądź sejmowych, bądź papiezkich, nie dopuściła ona powstania kilku nowych szkół jezuickich, jako to: akademji w Krakowie i we Lwowie, kolegjów w Krakowie i Nowém Mieście, Korczynie i wyższych kursów przy innych kolegjach. Byłoby to do darowania, gdyby je sama była zakładała. Mimo wygranéj jednak kolonje akademickie pustoszeją i upadają, a pułtuska, poznańska, lwowska przeszły do Jezuitów. Ogarnęli oni wszystkie prawie miejskie i katedralne szkoły. Zresztą edukacja w szkołach akademickich i jezuickich niczém od siebie się nie różniła. We wszystkich panował system schlebiania przesądom panującéj kasty, ogłupiając umysły młodzieży w widokach wyznaniowych i w partykularnych widokach zakonu. Więcéj pod względem nauki były warte szkoły pijarskie i luterskie, lecz te ostatnie po większéj części były niemieckiemi, na co rządy ciągle zupełnie są obojętne. W danych w Polsce warunkach, jakiemi były zupełne niemieszanie się rządów i wyłączność panującego kościoła, wolność nauczania przyniosła najgorsze skutki, a następnie wyrodziła się. Z niedbałości rządów wynikło bowiem, że szkoły niemieckie rozsiadały się w kraju, po za niemi zaś wolność nauczania schodzi na walkę przywilejów. Z wyłączności zaś panującego kościoła wynikło: zmonopolizowanie oświaty w ręku duchowieństwa, które tylko między sobą o prawo do szkół się kłóci, daléj jednostronność wyznaniowa szkół, oraz ciągły wpływ na wychowanie i oświatę krajową Rzymu, od którego duchowieństwo tak świeckie jak i zakonne zależało; wreszcie wykluczenie wyznań niechrześcijańskich od szkół publicznych. Z samowładności zaś jednego stanu wynikło coraz surowsze ścieśnienie wolności uczenia.

Powtarzają się tu rysy i motywa z poprzednich epok już znane — lecz z tą różnicą, że przyczyny i początki złego tam wykazywane, teraz już wszystkie najgorsze wydały następstwa. Mamy bowiem przed sobą Polskę XVII wieku. Na Rzeczpospolitą srożą się coraz większe zewnętrzne i wewnętrzne burze — a społeczeństwo nie jest już w stanie wydawać obywateli zdolnych do dźwignięcia jéj. Jakość i ilość oświaty zeszły w narodzie do najdrobniejszych a za to potwornych stosunków, a w parze z tym stanem idzie upadek moralności i dobrobytu. Z miast odsuniętych od spraw publicznych, mało oświeconych, po części niemieckich, zubożonych, w znacznéj części żydowskich, nieznających ani obywatelstwa, ani patrjotyzmu, chyba wyjątkowo we własnéj obronie — nie mógł wyjść ratunek.

Lud wiejski jest już zupełnie martwy — w wschodnich jeno częściach Rzeczypospolitéj nurtują go dwie jedynie dlań przystępne agitacje: społeczna i religijna prawosławna (wojny kozackie, odpadnięcie kozaczyzny).

Szlachta ogłupiona w szkołach, utwierdzana w fanatyzmie, dewocji i kastowéj bucie, zdolna już jest tylko do złotéj anarchji w obec rządu i państwa, do czołgania się w obec możnowładztwa, a do swawoli i nadużyć u siebie w domu. Oto smutny stan kraju, do czego zaniedbanie i błędność wychowania publicznego znacznie się przyczyniły. Upadek państwa jest już nie-

chybnym, tak, że wielkie usiłowania następne odrodzenia go przez odrodzenie wychowania, chwilową mu tylko przynoszą ulgę — a zapóźno już będzie na ocalenie.

Rozpatrzenie szczegółowe.

W akademji krakowskiéj nic się nie zmieniło, chyba na gorsze za przykładem Jezuitów. Profesorowie szczycą się w téj epoce, że akademja „gromiła różnowierców językiem, piórem i ręką“ — pod ostatniém rozumieć należy bijatyki uliczne i napaści na Żydów i różnowierców, napady na zbory protestanckie, osłaniane bezkarnością za rządów jezuickiéj kamarylli około Zygmunta III; wreszcie należą tu i bijatyki katolickich uczniów między sobą, to jest akademickich z jezuickimi.

Dochody akademji marnieją na czcze pompy kościelne, lub panegiryczno-teatralne, urządzane dla szlachty.

Kardynał Jerzy Radziwiłł i biskup Tylicki usiłowali zaprowadzić niejakie reformy, lecz oparła się temu stanowczo akademja, na mocy przywilejów papieskich i królewskich. Języki starożytne zaniedbywano coraz więcéj, o wschodnich, a zwłaszcza o tak potrzebnym w Polsce języku tureckim ani pomyślano. Nauki przyrodnicze, medycyna, matematyka zupełnie upadły. Mgły i majaki teologiczno-scholastyczne nie dopuściły do akademji ani wieści o współczesnym ruchu naukowym w Europie — o Karteziuszu, Spinozie, Leibnitzu, Lokem, Galileuszu, Keplerze, Newtonie nie wolno było ani wspomnieć. Akademja była sobie średniowieczną mumją, światła narodowi nie dawała wcale, nie wydała w téj epoce ani jednego uczonego i ani jednego dzieła. Profesorowie, wyłącznie księża, trudnią się głównie astrologją, polemiką i zaciąganiem uczniów do bractw i rożańców. W ogóle kościelne ceremonje prawie wszystek czas zabierały.

Powstają w téj epoce jeszcze trzy zakłady, mające tytuł akademji — wszystkie téj saméj wartości co krakowska.

Akademja jezuicka w Wilnie powstaje w roku 1578, kanclerzem jest biskup wileński. Promowano tam bakałarzy i magistrów t. z. sztuk wyzwolonych i filozofji, licencjatów i doktorów teologji; był i wydział niby prawny, jakiś czas i lekarski, bez prawa dyplomowania. Uczono, jak w planach stoi: poezji, retoryki, filozofji scholastycznéj, moralnéj, loiki, polemiki, pisma świętego, matematyki, fizyki, języków: greckiego, łacińskiego, francuzkiego, angielskiego, włoskiego. Profesorów bywało po 23. Wyłącznym atoli celem akademji, do którego cały plan zmierzał, było przysposabianie księży, lub ślepo posłusznych owieczek. O naukę, umiejętności, wcale tam nie szło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

IV. Nieczyste dusze.

— Boże mój, jaka ja dziwna — mówiła — tyle nagadałam się o sobie, a nie pytam, co się z panem dzieje, gdzie przebywasz? —

— Jestem teraz w Galicji, ale wracam znowu do Wiednia.

— Na długo? —

— Może na bardzo długo. —

— O! to będziesz pamiętał o moim Zygmuntku. — Biedny dzieciak nie ma tam nikogo, ktoby go kochał, przytulił, ktoby mu zastąpił ciotkę. A ja wyjechać nie mogę do niego. — Czy będę mogła widzieć się z panem, gdy będziesz przejeżdżał do Wiednia? chciałabym Zygmuntkowi przesłać parę drobiazgów. —

— Wątpię, czy będę zatrzymywał się w Krakowie. Będę przejeżdżał nie sam — ale z żoną.

Drgnęła i pobladła na te słowa. Starała się jednak zapanować nad wzruszeniem i coś przemówić, choć słowa z trudnością szły jéj przez gardło.

— Pan się ożeniłeś? — spytała.

— Żenię się dopiéro. —

— Jakże radabym widzieć choć z daleka pańską żonę. Kobiéta, którą osądziłeś pan godną swéj miłości, musi być niepospolita.

— Nie, jest tylko dobrą i uczciwą. —

— Uczciwą — szepnęła Józia i westchnęła. —

August pomiarkował się, że potrącił o drażliwą strunę — westchnienie było jakby jękiem téj struny. Zmienił więc prędko przedmiot rozmowy i począł ją wypytywać o mieszkanie Zygmuntka, o jéj powodzenie i inne drobne okoliczności. — Głos dzwonka ze stacji, który doleciał do cichéj ustroni, w któréj siedzieli, przerwał rozmowę. August zerwał się i podał rękę na pożegnanie Józi. Schyliła się i pocałowała go w tę rękę. Stało się to tak szybko, że August nie miał czasu obronić się przed tém. —

— Bądź szczęśliwy — rzekła drżącym głosem. —

— I ty Józiu. —

— Ja? — Uśmiechnęła się boleśnie, dwie łzy wystąpiły pod rzęsami. — Nie chciała, aby je widział, więc ścisnąwszy go jeszcze raz za rękę, odwróciła się. — August odchodząc, słyszał jéj łkanie. — Cichy ten płacz długo jeszcze brzmiał mu w uszach. Nie mógł o nim zapomnieć wśród łoskotu pociągu pędzącego w stronę Lwowa. — Przez parę stacji Józia stała mu na myśli. — W miarę jednak, jak się zbliżał do domu — postać czarnowłoséj dziewczyny bladła i nikła w jego myślach — a natomiast występowała inna i coraz więcéj promieniała w jego duszy. — August pieścił duszę marzeniami o szczęściu, jakie go czekało w cichéj, wiejskiéj ustroni; tęsknocie i niecierpliwości jego ruch pociągu wydawał się leniwy, powolny. — Wysiadłszy na ostatniéj stacji, najął zaraz konie i nie zatrzymując się ani chwili, pojechał do Wybrzeża; — chciał bowiem przed wieczorem tam stanąć, by dziś jeszcze mógł być na plebanji. —

Chęciom jego jednak nie stało się zadosyć, bo choć woźnica popędzał szkapy co sił — zajechali do Wybrzeża już dobrze w noc. — August mimo to pobiegł na plebanję. — Było już jednak ciemno w oknach. — Rad nie rad wrócić musiał do siebie, a że sen nie czepiał się jakoś jego powiek i nie mógł znaleźć spokoju w swém mieszkaniu, wyszedł więc trochę na ogród

odetchnąć świeżém powietrzem i puścić wodze niespokojnym myślom. —

Noc była piękna, ciepła, księżycowa. Woń kwiatów, cisza nocna i srebrzyste światło księżyca nadawało całemu ogrodowi dziwnie uroczą, fantastyczną postać. Dla zakochanéj duszy było to tło odpowiednie. August błądził czas jakiś po ogrodzie — potem usiadł w altanie zacienionéj winoliściem i zadumał się — Naraz dumanie jego przerwały kroki kogoś chodzącego po ścieżce i równocześnie usłyszał cichą rozmowę. Głos zbliżał się ku jego stronie. — August rozróżniał dwa głosy, jeden męzki, w którym poznał Zenona, a drugi cichy, rozmarzony i nieśmiały szept niewieści. Mimowoli August słyszeć musiał następującą rozmowę:

— Więc mi nie wierzysz, że cię kocham? —

— Wierzę, gdy jestem przy tobie — odpowiedziała kobiéta — ale gdy cię nie widzę, straszny niepokój mnie dręczy. Co ja zrobiłam — co ja zrobiłam. —

Na to narzekanie mężczyzna odpowiedział pocałunkiem.

— Czy nie mówiłeś jeszcze z matką? — spytał znowu głos kobiécy. —

— Nie. Ksiądz Albin przygotuje ją do téj wiadomości. Wiesz, że matka miała inne zamiary względem mnie. — Potrzeba czasu, aby ją przerobić. —

— Ach, żeby się to raz skończyło. Tak żyć w niepewności i trwodze — to zabija. —

Rozmawiający stanęli właśnie przed altaną. August spodziewał się, że pójdą daléj. Tymczasem mężczyzna zatrzymał kobiétę i rzekł z prośbą:

— Wejdźmy tu. —

— O nie, nie — odparła z pośpiechem. — Boję się teraz téj altany, jak złego ducha. —

— A ja patrzę na nią, jak na raj, gdzie byłem tak szczęśliwy. —

— Ty to nazywasz szczęściem, co mnie zrobiło nieszczęśliwą. Chodźmy ztąd, chodźmy. — Jeżeli mnie kochasz — nie mów tak. Wróćmy do domu. — I tak już się boję, czy ojciec nie domyśla się wszystkiego. — Chodźmy. —

Pociągnęła go za sobą i poszli ku pałacowi.

— Nowa jakaś ofiara rozpusty Zenona — pomyślał August — może jaka panna służąca lub coś podobnego. —

Myśl ta przelotnie przesunęła się po głowie jego i zginęła wśród tylu innych. August nie miał czasu teraz myśleć o innych — miłość uczyniła go samolubem — myślał o swojém szczęściu. — Te myśli i chęć zobaczenia Anetki odjęły mu sen zupełnie. Nad ranem wrócił do domu i po krótkim spoczynku ubrał się i poszedł na plebanję. — Za rano jeszcze było, by śmiał wchodzić do pokoju Anetki; wszedł więc na drugą stronę do księdza proboszcza. Zastał go zajętego porządkowaniem papierów. Przywitanie ich było nadzwyczaj serdeczne i przyjacielskie, lubo we wzroku księdza był smutek i współczucie. —

— Witam cię panie Auguście — odezwał się proboszcz — kiedy wróciłeś?

— Wczoraj w nocy.

— Czy ci już powiedziano?

— Co takiego?

— Jakto — więc ci nie powiedziano jeszcze, że opuszczam tę parafję?

— Z powodu? —

— Przenoszą mnie gdzieindziéj — w góry. —

— Pewnie na korzystniejsze probostwo.

— Nie — na wikarjat. —

— Jakiż powód takiéj krzywdy?

— Nurtowano podemną, kopano dołki, aż w końcu dokazano swego. —

— I któż taki?

— Nie wiem, nie chcę posądzać nikogo; lubo tém wszystkiém jakaś niechętna mi dłoń kierowała. Oskarżono mnie przed konsystorzem o różne rzeczy, za które kościół karze — o herezję, buntowanie ludu, niemoralne życie i Bóg wie jakie zbrodnie. — Gmina podała skargę. —

— Gmina, dla któréj ksiądz tyle dobrego robiłeś?

— Ktoś ich namówił zapewne do tego. Lud poczciwy, ale ciemny, dał się łatwo powodować złym namowom. Nie umie jeszcze rozróżnić tych, co mu lekarstwo, i tych, co mu truciznę podają. — Żal mi tych kilku, których zdołałem oświecić i naprowadzić na dobrą drogę, żal mi porzucać rozpoczętą pracę; ale darmo, słuchać trzeba władzy. —

— Mnie taka władza oburzyłaby tylko. —

— I cóżbyś zrobił? — spytał ksiądz z łagodnym uśmiechem. —

— Nie byłbym posłuszny i wolałbym raczéj zrzec się kapłaństwa, jak dać się kierować jak maszyna wbrew woli i przekonaniu. —

— A kto ci zaręczy, że tam gdzie idę, nie jestem potrzebny, że słowa moje nie znajdą tam lepszéj gleby? — Prawda wszędzie jest potrzebna, jak światło. — A jeszcze tyle ciemności. Więc gdzie można, prawdę siać należy. — Co mnie jednak boli w téj całéj przemianie méj doli, to niewdzięczność, jakiéj doznałem od najbliższych. Nie przypuszczałem nigdy, że ci, których tak serdecznie przyjąłem w dom, tak źle się obejdą ze mną. — Czy wiesz panie Auguście, że między aktami oskarżenia było także zeznanie mojéj siostrzenicy, iż ją namawiałem do zmiany wiary, do przejścia na protestantyzm. To zeznanie najwięcéj mnie potępiło. —

August słuchał proboszcza z wytrzeszczonemi oczami. — Nie rozumiał. —

— Jakto — panna Aneta?

— Tak — ona.

— I cóż ją do tego skłonić mogło?

— Zdaje się, że także namowy. Uważałem, że od jakiegoś czasu ona i jéj ojciec ulegali jakiemuś zgubnemu wpływowi; w postępowaniu ich ze mną była dziwna nieszczerość i niechęć. — Ojcu się mniéj dziwię — tetryk i dziwak. Ale córka. — Bóg widzi kochałem ją i chciałem jéj szczęścia. Nie chciała. Potargała to szczęście własnemi rękami. Oby tego kiedyś nie żałowała. —

— Jakto, więc panna Aneta sprzeciwia się naszemu połączeniu? —

— Więc i o tém jeszcze nie wiesz? — spytał ksiądz zdziwiony. —

— Nic a nic. I jakiż powód?

— Różnica religji. — Stanowczo oświadczyła, że nigdy nie pójdzie za człowieka innéj wiary. —

Wiadomość ta spadła jak ciężki kamień na myśli Augusta; gniotła je lub rozpraszała. Stał bezprzytomny prawie i słuchał jak więzień wyroku. — Proboszcz mówił daléj:

— O ile ją mogłem poznać przedtém — nie przypuszczałem nigdy takiego zwrotu rzeczy. — Tu oprócz powodów fałszywéj religijności, musiały być jeszcze jakieś inne tajemne powody, których dojść nie mogę. — Czy ona mówiła ci kiedy, że cię kocha?

— Nie, ale czytałem to w jéj oczach. — A więcéj czytałem to, gdym ją poznał w Wiedniu, niźli tu. — Zdawało mi się, że nieśmiałość krępowała ją. —

— To dziwna rzecz. — Nie mogę znaleść jasnego powodu w téj sprawie. —

— I nie zapytałeś jéj ksiądz o to? Cóż ona powiada? —

— Od czasu powrotu mego z miasta, gdziem był powołany przed sąd kościelny, nie widziałem jéj, nie zastałem jéj już w domu. —

— Wyjechała więc? —

— Wraz z swoim ojcem opuściła mój dom. Musiałeś ją widzieć dzisiaj — mieszka w pałacu.

— W pałacu? — zawołał August tak gwałtownie, że ksiądz aż się cofnął. — Nocna schadzka stanęła mu teraz żywo przed oczami, a oburzenie, rozpacz, zdziwienie krzykiem się objawiły. —

— Tak, w pałacu — odrzekł ksiądz spokojnie. — Dziedziczka dała jéj tam przytułek. Obałamucili biedne dziecko skrupułami religijnemi i przyprowadzili ją do tego, że własnemi rękami potargała ciche szczęście, jakie ją z tobą czekało. Oby tego nie potrzebowała kiedyś żałować! — (Ciąg dalszy nastąpi).

CHADŻY-ABREK.

Powieść kaukazka z Lermontowa,

przełożył

Stanisław Grudziński.

(Dokończenie).

Zorza wciąż bledsza... noc ponura
Rozciąga już całuny swoje.
Z kaukazkich gór się czołga chmura,
Jak olbrzymiego węża zwoje.
Fantastycznemi postaciami
Zapełnia szczyty skał śniegowe
I trąca krzewy tam cierniowe,
Rzucając rosy nań perłami.
Złowrogo strumień szumi, pryska,
Z pod trawy mętną wodę toczy
I przez zasłonę mgły wciąż błyska,
Jak nieboszczyka martwe oczy...

Spiesz się wędrowcze, ściągnij wodze!
Szeroką burką okryj się!
Niech koń unosi cię po drodze,
Po nad przepaście wichrem mknie!
Za tobą jeszcze w ślad nie goni
Zły górski duch, lub dziki zwierz,
Lecz niech modlitwa ciebie broni,
Jeśli się modlić umiesz, chcesz.

„Hej! dalej koniu! trwożném okiem
Dla czego rzucasz tak w około?
— To kamień zmyty tym potokiem,
To błyszczy węża lśniące czoło.
Jam ci zawdzięczył nieraz życie!
Kiedy staniemy dziś u celu,
Ja twe wędzidło, przyjacielu,
Ozdobię srebrem ci sowicie —
I puszczę cię w zielone pole,
Mój szybkonogi ty sokole!

Lecz... czemuż dziś się odmieniłeś?
Tak prędko pianą się okryłeś?
Za chwilę księżyc z po za chmury
Oświeci dobrze znane góry
I wkrótce światło znane zbliska
Uderzy w oczy od ogniska
I tę dolinę ujrzym my,
Gdzie nasz spokojny auł śpi.“

Doliny jeszcze noc okrywa.
Dżemacki auł w śnie spoczywa
I tylko biedny starzec sam
Wśród nocnéj ciszy czuwa tam.
On jeden nie chciał złożyć głowy —
I tam przy drodze, na kamieniu,
Wpatrzony w przestrzeń siedzi w cieniu
Jak gdyby jaki głaz grobowy.

Lecz oto tam, ze skał urwiska
Powoli zchodzi koń zmęczony,
A jeździec burką otulony
Do piersi swojéj coś przyciska.
I starzec zadrżał: „w zwojach burki —
To pewnie dar od mojéj córki!“

Już jeździec blisko... z konia skoczył —
I coś mu z drżących rąk wypada...
Po miekkiéj trawie dar się stoczył...
— To córki starca głowa blada!

I on z wyrazem uniesienia
Jéj pocałunek długi dał,
Jakby ostatni ból cierpienia,
Ostatni jęk w nią przelać chciał!
I życie całe w jeden ton
I w jeden uścisk przelał on.

Dość długo świat i los niedoli
Wbijały w serce cierpień nóż...
Jak nić słabnąca wciąż powoli
W téj jednéj chwili pękło już.
I twarz, co starość poorała
Bladością śmierci zbladła cała.

Tak szybko zgasła iskra życia,
Że choć ustały serca bicia,
Lecz myśli ślad, dla któréj żył
Po śmierci jeszcze w rysach tkwił.

Chadży w milczeniu stał głębokiém
I obojętném patrzał okiem,
Aż dosiadł konia znów ponury,
I pędem wichru leciał w góry.

* * *

I minął rok — i w rozpadlinie
Dwa zgniłe trupy znaleziono
I tam, zkąd potok wrzący płynie
Na szczycie góry pogrzebiono.
Przekleństwo piętnowało twarze
I obaj byli krwią zbryzgani,
Uściskiem dzikim powiązani
Dwaj przyjaciele, czy zbrodniarze!
Być może, było to złudzeniem,
Ale podróżnym się zdawało,
Że oko zemstą wciąż pałało,
A usta drgały potępieniem.
Ich odzież była dość bogata —
Ponure czoła baszłyk krył.
Poznano w jednym Bej-Bułata,
Lecz nie wie nikt, kto drugi był.

* * *

Przypisek tłumacza: W tłumaczeniu niniejszego poematu, trzymając się ściśle oryginału, pozwoliłem sobie zachować niektóre wyrazy, mające miejscowe znaczenie. Tłumaczenie takowych podaję:

Auł = wioska na Kaukazie.
Sakla = chata.
Arba = wóz, kara tatarska na wysokich kołach.
Kumys = kobyle mleko.

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Obecnie, wyglądał lepiéj jeszcze jak zwykle, bo po tygodniu spoczynku, odetchnął, zorganizował się, umył, i nogi pokaleczone wyleczył. Zresztą mundury były brudne, podarte, poszarpane, butów temu i owemu brakło, ale gdy przyszło do starcia, pokazywało się, że galony i batforty nie pomagają do męztwa i dzielności. Taki był ten oddział, obecnie śpiący w malowniczym nieładzie, chrapiący, mruczący przez sen, okryty cieniami nocy i lasu, oświecony gasnącemi płomykami i bladém gwiazd spojrzeniem.

Niedaleko odwachu stał barak większy nieco od innych. Na kilkunastu kołkach wbitych w ziemię, położono pionowo drążki i przykryto je jałowcem. Był to barak naczelnika.

Wejście do niego zasłaniał kawał płótna czy drelichu niewiadomego koloru.

W namiocie było pusto i skromnie. Parę desek zbitych i opartych na kołkach reprezentowało stół, na którym stała flaszeczka atramentu, pióro, papier i butelka z wodą, oraz świeca stearynowa oprawiona w drewniany, obozowéj fabryki lichtarz. Kilka pieńków i kloców zastępowało krzesła. W rogu stała oparta o ścianę z gałęzi broń rozmaita, na ziemi leżały dwa posłania z siana świeżego i parę siodeł bardzo ładnych.

Dwóch ludzi znajdowało się w tej chwili w owéj budzie żołnierskiéj.

Jeden z nich, przez pół rozebrany, spał na sianie. Wierzch jego głowy zwrócony do światła pokazywał, że to był człowiek stary, bo siwy. Drugi siedział na jednym z pieńków, przy stole, przodem do drzwi, i szukał czegoś na rozłożonéj przed nim mapie. Młodą choć bladą i znużoną twarz, oświecała świeca, to też od razu możemy w nim rozpoznać Artura Karlińskiego.

Był to on rzeczywiście i on też był naczelnikiem oddziału.

Artur nie zmienił się tak, żeby go poznać nie było można, ale zmienił się jednak bardzo. Twarz mu wychudła, zciemniała, oczy w głąb zapadły, usta się przycięły. Znać na nim było i moralne cierpienia, i chorobę fizyczną. Było też jedno i drugie.

Najprzód to co widział na około siebie, dowodziło, że się nie omylił, sądząc, że przedwczesność wybuchu zwichnie jego siłę, i że cały ten zamach będzie miał znaczenie tylko k r w a w é j m a n i f e s t a c j i. Jakkolwiek marzyciel, wzdrygał się on na sam dźwięk tego wyrazu. Ta więc bezużyteczność wysileń, to zmarnowanie zapału i ofiarności narodowéj, przeczucie zwątpienia i reakcji, jaka potem nastąpić miała, ciążyło mu na sercu kamieniem, zatruwało każdą jego chwilę, każdy pogląd jaśniejszy tym szeptem piekielnym: „I na cóż to wszystko?!!... Z drugiéj strony tęsknota za ukochaną, obraz Polci i te wiecznie jęczące słowa: „stracona na zawsze" ścigały go ciągle, wśród bitew i marszów, na odpoczynkach obozowych i na łożu boleści.

Bo i tego nasz bohater doświadczył.

Z Mławskiego przeszedłszy w puszczę Ostrołęcką, oddał się pod rozkazy Padlewskiego. Zaraz też pod Myszeńcem na czele kompanji kosynierów ranny kulą w nogę, parę miesięcy przeleżał w ukrytéj chatce kurpia.

Tu miał sposobność poznać bliżéj ten lud biedny, nędzny, oryginalny strojem i językiem, którego kobiéty na klęczkach witały powstańców, którego mężczyzni własne domy z rodzinami palili, gdy w nich byli Moskale zamknięci.

Patrząc na lud ten, żyjąc z nim, poznając go, zaczął nabierać lepszéj otuchy... Ale illuzja była krótka. Zaledwie wychylił głowę z borów piaszczystych, przekonał się, że na otwartym świecie inaczéj. Jednakże odebrawszy polecenie utworzenia oddziału i pomaszerowania w Płockie, nie wahał się ani chwili. Rozkazu dopełnił, tu i owdzie małe odbył potyczki, przybył w Płockie, i to tak zręcznie, że choć organizował się tu od tygodnia, Moskale przecież nie wiedzieli ani gdzie, ani w jakiéj jest sile? Dziś właśnie wieczorem odebrał wiadomość, że nieprzyjaciel nakazał podwody na trakcie idącym o mil parę od tego na którym on stał... Ilość nakazanych podwód dowodziła że ich niema więcéj nad cztery lub pięć rot, a mieli jechać na trzeci dzień rano.

Rozpatrywał się właśnie na mapie Chrzanowskiego, gdzieby ich zaczepić było można (Artur trzymał się systemu zaczepnego) i przekonał się, że najwłaściwiéj w Staréj wsi, od jego stanowiska odległéj o dwie i pół mili. W obec tego nazwiska Artur zamyślił się głęboko... Wspomnienia ostatniéj z kochanką rozmowy, obraz jéj prawie umierającéj, myśl jego pętać zaczęły. Gwałtem wrócił do planów wojskowych... Ale uparte serce szeptało mu ciągle:

— Może będę tam ranny... może umrę w jéj oczach — i uśmiechnął się jakby do szczęścia...

— Tak, ale jeśli na dom jéj ściągnę dzicz moskiewską?...

— Nie... nie można...

I znów się wpatrywał w kartę, a sumienie mówiło: Jakto? ty, któremu biedna ojczyzna powierzyła gromadkę obrońców bohaterskich, ty, który winien jesteś korzystać z każdéj sposobności... dla jakichś osobistych względów miałbyś z matni wypuszczać wroga?... Co znaczy życie Poli i jego boleść w obec wrażenia, jakie wywrze zwycięztwo pewne?...

— Nie, iść trzeba... niech się co chce dzieje..

I Artur uderzył w stół dłonią.

— A co to?... panicz jeszcze nie śpi?... I śpiący człowiek podniósł głowę i spojrzał na Artura.

— Nie chce mi się, mój Antoni... pójdę obejrzeć placówki, pojutrze rano bić się będziemy...

— Bogu dzięki — zawołał stary, podnosząc się powoli, ale kiedy tak, to niech się panicz prześpi... ja obejdę obóz... zresztą dziś na odwachu porucznik Garlicki... można spać spokojnie...

— Wiem o tém, ale potrzebuję się przejść... jeżeli masz ochotę, chodź ze mną...

Stary sługa, a zarazem wachmistrz kawalerji, wzruszył ramionami, kiwnął głową i mruknął po cichu: „Oj! oj!... wiem ja co to znaczy!... Urok na niego rzuciła!" i okrywszy się burką, wyszedł za panem. Długo chodzili po obozie. Już niebo na wschodzie blednąć zaczynało, gdy wróciwszy do baraku, Artur rzucił się na wiązkę siana, poleciwszy Antoniemu, żeby go zaraz po wschodzie słońca obudził. Kazał prócz tego zapowiedzieć oficerom, że wieczorem wyruszą, żeby więc wszystko wcześnie do marszu było gotowe. Wkrótce też w lesie zabrzmiały chóry ptasząt, a i w obozie budzić się i ruszać zaczęto, sięgać do butelek, w strumieniu leśnym myć twarze i ręce, przy pomocy wody zwierciadlanéj kończyć toaletę obozową. — Ruch ten powoli

zaczynał się ożywiać i w hałas, podobny do brzęczenia roju pszczół się przemieniać.

Korzystając z chłodu drobne oddziałki, z instruktorami na czele, wychodziły na szeroki gościniec i na polanki po lesie rozrzucone, dla odbycia musztry. Antoni oglądał konie, rewidował siodła, opatrywał wozy, oficerowie w milczeniu gotowali się do wieczornego marszu. Słońce pyszne, wspaniałe, ogromne wychyliło się nareszcie z nad horyzontu.

W téjże chwili od strony forpoczt usłyszano turkot lekki i wkrótce żołnierz przyniósł wiadomość, że przyprowadzono szpiega, a zarazem list od władzy cywilnéj. Odebrał go Antoni i przeczytał na wierzchu wyrazy: „bardzo pilno.“ Poszedł więc do baraku i choć z żalem obudził Artura.

List był od cywilnego naczelnika powiatu. Donosił mu on najprzód, że Moskale z pewnością rano następnego dnia przechodzić będą przez Starą wieś, i dodawał, że udało mu się schwytać bardzo niebezpiecznego przestępcę, którego dowody winy dołącza, a którego dla przykładu należy bez pobłażania ukarać.

Druga wiadomość wywołała mars na czoło czytającego i niecierpliwe westchnienie. Nienawidził on tych wszystkich sądów i wyroków, rzadko kiedy skazywał, a każde skazanie okupywał niespokojnością, smutkiem i cierpieniem. Ale wtedy jeszcze trybunałów rewolucyjnych nie było, i wszelkie przestępstwa musieli sądzić dowódzcy oddziałów i ich oficerowie. Nie było się więc nad czém zastanawiać. Był to obowiązek przykry, ale obowiązek.

— Poproś tu panów oficerów na sąd wojenny i każ przyprowadzić więźnia.

A potém wstał, otrząsł się nieco z siana, włosów poprawił, i wyszedł przed barak.

Kapitan strzelców, były porucznik z wojska moskiewskiego, ale czystéj krwi Polak, i rotmistrz jazdy, były kawalerzysta pruski, zawiadomieni przez Antoniego, już szli ku barakowi naczelnika.

— Kogoż to przysłano? zapytał jeden z nich.

— Nic a nic nie wiem jeszcze — odpowiedział Artur.

— Te cywilusy to nas do wszystkiego używają... bąknął drugi.

— Będziesz go bronił? spytał Artur, który z oficerami żył jak z braćmi.

— Jeżeli naczelnik każe...

Reszta starszyzny także zaczęła się gromadzić i cała ta grupa mimowoli prawie posuwała się zwolna ku drodze, którą więzień miał przybyć.

Jakoż w téj chwili, z za drzew, ukazał się najprzód partyzant z karabinem, późniéj dwóch innych prowadzących pod ramiona człowieka, z twarzą zakrytą brudną chustką, a z tyłu szedł inny żołnierz i niósł pakiet papierów.

Więzień, człowiek nizkiego wzrostu, dobréj tuszy, z brzuchem okrągłym, zupełnie przyzwoicie ubrany, zaledwie powłóczył nogami, i dwaj jego towarzysze widocznie nieśli go pod ramiona. Z piersi tylko jego wychodził jęk do chrapania podobny.

Konwój doszedłszy na kilka kroków przed gromadkę oficerów, stanął.

— Odsłonić twarz temu człowiekowi — rozkazał Artur. —

Chustka spadła, więzień z początku olśniony światłem, przymknął oczy, potem je otworzył, i zobaczywszy Artura, jęknął głucho, i byłby upadł, gdyby nie dwaj jego towarzysze.

Artur zbladł także i cofnął się jakby przestraszony.

Więźniem tym był Piotrowicz.

Milczenie trwało chwilkę. Na około zebrali się w gromadkach partyzanci i jedni szydzili po cichu ze strachu przestępcy, inni z nienawiścią nań spoglądali, inni nareszcie, z pewném uczuciem litości. Oficerowie milczeli patrząc surowo i smutnie.

— Aha!... teraz strach... a nie było szpiegować... odezwał się głos jakiś z tłumu.

— Bestja!... jak to ślepie przewraca...

— On zdechnie ze strachu...

— Cicho! — zabrzmiał głos Artura. — Nikczemni tylko znęcają się nad bezbronnym... On nie osądzony jeszcze.

Na głos ten życie zdawało się wracać w Piotrowicza, kolana mu się prawie wyprostowały... głowy nie podniósł, ale oczy otworzył i z podełba spojrzał na Artura, a przytem zrobił minę tak pokorną, tak błagającą, tak śmiesznie nikczemną, że choć głośny śmiech nie odezwał się nigdzie, ironiczne uśmiechy osiadły na wszystkich ustach, a kosynier Tomek, komik obozu, całą duszą się w tę minę wpatrzył, żeby ją zapamiętać i módz naśladować.

— Jam nie winien!... wykrztusił chrapliwie więzień. —

— Zobaczymy — mruknął Artur, a potem dodał głośno:

— Tego pana na odwach.

Piotrowicz znów o mało nie zemdlał, ale poszedł chcąc niechcąc.

— Idź do więźnia — dodał potem do oficera jazdy — za godzinę będzie sąd... niema czasu... Za godzinę proszę panów do siebie, a pana wcześniéj... na oskarzyciela — dorzucił kierując mowę do jednego z oficerów.

Wróciwszy do siebie Artur otworzył pakiet i znalazł w nim oskarzenie i ów list własnoręczny Piotrowicza do naczelnika żandarmów, o którym pisaliśmy wyżéj. Jakim sposobem list ten dostał się władzom powstańczym, zkąd Piotrowicz, który przed paru tygodnami ze Staréj wsi wyjechał wpadł w ich ręce? Rzecz była bardzo prosta. Po wyjeździe ze Staréj wsi patrol żandarmów i kozaków został zaczepiony w lesie przez zasadzkę partyzancką. Na huk pierwszych strzałów jakie padły z gęstwiny, ruszyło wszystko z kopyta. Został tylko na placu jeden kozak ranny i wachmistrz zabity.

Przy wachmistrzu znaleziono list Piotrowicza, czyli po prostu jego denuncjację. Ale wszystko było wtedy rozbite w tamtych stronach i ani ochoty, ani siły nie było do ścigania przestępców.

Daleko więc późniéj dopiéro, gdy powstanie odżywiać się zaczęło, odgrzebano tę sprawę i polecono exmecenasa odstawić do obozu. Piotrowicz jednak już był wtedy wyjechał. Byłoby się więc wszystko na niczém skończyło, gdyby nie zła gwiazda ojczyma Polci.

Miał on u pewnego szlachcica coś około 20,000 złr. Szlachcic, obiecał mu je najsolenniéj przywieść do Warszawy i nie stawił się na słowo, co więcéj, mecenas się dowiedział, że dłużnik jego źle bardzo w interesach stoi. Żeby więc choć co wydobyć, Piotrowicz poleciał statkiem do Płocka, a ztamtąd ekstrapocztą chciał się dostać do Mławy. Trzeba nieszczęścia, że spotkał na drodze tego właśnie żandarma narodowego, który miał rozkaz aresztowania go, i który znał mecenasa doskonale z twarzy. Tym sposobem stary lis wpadł we własne sidła.

Przeczytawszy oskarzenie i list Piotrowicza — Artur zamyślił się głęboko. Chciał on w pierwszéj chwili usunąć się od sądu, ale teraz widział, że w takim razie mecenas będzie z pewnością zgubiony.

— I będzie ginął w przekonaniu, żem ja go zabił... i ona uwierzy, żem się mścił nad wrogiem bezbronnym!... A jeżeli mimo mego uporu większość go skaże?... Ha!... to mu ucieczkę ułatwię... on tu zginąć nie może... nie!... (Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Obrazki z podróży. Szwecja. Odczyty literackie miane w Dreznie przez Wawrzyńca bar. Engeströma.

Oryginalne opisy podróży należą do najrzadszych zjawisk w piśmiennictwie naszém, z małéj bowiem liczby turystów, których nietylko rozrywka, ale i naukowe korzyści do obcych zwabiają krajów, nie wielu rezultatem badań dzieli się z publicznością. — Wędrowiec, jedyne pismo poświęcone przeważnie podróżom, żywi się tłumaczeniami francuzkich i niemieckich utworów. Niewdzięczna to zresztą gałęź piśmiennictwa, u nas przynajmniéj nie zdolna autorowi jakiegokolwiek wywalczyć uznania, a wymagająca obszernych, chociaż nie tak gruntownych wiadomości. Chcąc stworzyć obraz dokładny obcego narodu i kraju, powinien go autor z każdéj ważniejszéj opracować strony. Opis kilku miast, znakomitszych budynków i pięknych okolic myślącym nie wystarczy czytelnikom, — pragną oni zapoznać się bliżéj z obyczajami, z literaturą narodu, ze stanowiskiem jego ekonomiczném, z dziejową jego przeszłością. Im wyżéj stanął naród na szczeblach oświaty, tém trudniejsze zadanie autora, tém liczniejszy do zbadania materjał, tém więcéj rozstrzelona uwaga. Uwzględnić to tylko, co godném opisu, z tysiąca różnorodnych szczegółów stworzyć obraz harmonijny i pełny, to zadanie niemałéj wymagające biegłości. — Autor obrazków z podróży starał się właśnie o rozmaitość i wszechstronność w opisie ojczyzny Tegnéra, — mamy tam opisy okolic, miast i dzieł sztuki, szczegóły charakterystyczne z życia i obyczajów narodu, legendy jego i pieśni, wyjątki z arcydzieł poezji, szczególniéj ulubionego Tegnéra, wspomnienia historyczne z każdą związane pamiątką. Autor nie zawsze zdołał niezmiernym podołać trudnościom, niejeden z ciekawych szczegół pomija zbyt szybko, uwzględnia nazbyt ogólnie, rozwodząc się nad drugim obszerniéj, powtarzając kilka razy rzecz jedną, — usterki to, których pióro mniéj wprawne uniknąć nie zdoła. Najsłabszą jest część opisowa, część najtrudniejsza zarazem. Jakiéjż to potrzeba biegłości i dokładności opisu, aby czytelnikom zrozumiały odtworzyć obraz budynków, okolic, widoków! Autorowi zdaje się zazwyczaj, że go każdy zrozumieć powinien, że każdy widzi przed sobą ów kościół, jezioro lub miasto, — nic dziwnego, autor patrzał na wszystko własnemi oczyma, zatrzymał obraz w pamięci, kilka słów ogólnych opisu wystarcza dla niego zupełnie. Czytelnik przeciwnie stosownie do uwag autora stwarza sobie rzecz niewidzianą, przy niedokładnych więc wskazówkach, obraz będzie niejasny i błędny. Przy każdéj dla tego podróży niezbędną są rzeczą illustracje, które nieudolność słowa zastąpią i twórczéj wyobraźni czytelnika za pewniejszą posłużą podstawę. Podróż bez illustracji traci połowę wartości. Niestety, u nas illustracje należą do rzeczy zbytkownych, niepodobna więc winić autora. Autor mógłby jednakże niekiedy uniknąć niejasności opisu, obrazowi swemu mniejsze naznaczając ramy. Panorama n. p. Stockholmu (odczyt trzeci) jest dla nas zupełnie niejasną; tak wielki obszar, tylu zapełniony szczegółami, niepodobna nam przejrzeć od razu, — w głowie naszéj nieład zupełny, nie wiemy gdzie to wszystko ustawić, nie wiemy gdzie ląd, gdzie las, gdzie morze, idziemy za wskazówkami autora myląc się, błądząc co chwila. Autor wstrzymuje nas nadto w porcie, przy kościele, na placu, każe nam podziwiać pomniki, słuchać orkiestry wojskowéj, przytacza nam tłumaczenie granéj przez nią pieśni, — wszystko ciekawe to rzeczy lecz zbyteczne przy ogólnym poglądzie. Mamy poznać Stockholm à vol d'oiseau, niepodobna nas zajmować szczegółami. — Opisy pięknych okolic n. p. jeziora Wetternu byłyby bezwątpienia jaśniejsze, gdyby nam autor tak często własnym nie przeszkadzał zachwytem. Autor powinien nasamprzód narysować wyraźnie i chłodno zarysy obrazu, uwagi i uniesienia nad pięknością widoku, to koloryt, który kształtom tym życia i ciepła nadaje. Ale szkic być musi zupełnym, zanim farbą wypełnić go można, — nie wolno malarzowi częściami tworzyć obrazu. Autor przeciwnie szkicuje nam i ubarwia pojedyncze partje widoku, przeszkadzając własną uwagą w odtwarzaniu dokładnéj całości.

Radzimy szanownym czytelnikom, szczególniéj pięknym czytelniczkom, przeczytać z uwagą „Obrazki z podróży.“ Praca to sumienna, ciekawe zawierająca szczegóły, a przedewszystkiém niemało naukowéj przynosząca korzyści. Byłoby to wielkim u naszych kobiét postępem, gdyby zechciały zasmakować w opisach podróży. Belletrystyka to w dziedzinie nauki, — wiadomości z dziejów, z piśmiennictwa, etnografji, ekonomji i tylu innych niezmiernie ważnych gałęzi w przystępnéj i zajmującéj podana tu formie, przyzwyczaić je może powoli do dzieł poważniejszéj treści. Czyliż tylko powieści wyłącznym być mają pokarmem ich ducha?

J. M.

* * *

Niewolnik. Poema z pieśni wygnańca. Rodakom upominek na wigilję 100-letniéj rocznicy pierwszego rozbioru Polski. Kraków. Nakładem W. Tomaszewicza.

Wyobraźcie sobie, szanowni czytelnicy, następującą scenerję: Wielkie więzienie. W głębi widać Gopło. Po lewéj stronie Tatry. Po prawéj Dniepr. W dole brzegi Dniestru. Naprzeciw Niemen. Na północy trzy głoski przerażającym pałają ogniem. Na wschodzie wieże i ściany z lodu. Tu i owdzie papierów olbrzymie zwoje (!). W koło kraty z bagnetów. W górze światło. Słychać huk podziemny. Tłumy ludu pędzą wzdłuż i wszerz. — Otóż w takiém to więzieniu, któremu jednostajności nie możecie zapewne zarzucić, siedzi sobie niewolnik, bohater poematu, i wyśpiewuje rzeczy przeróżne: modlitwy, psalmy Dawida, piosenki do orłów i skowroneczków, capriciosa w guście Lenartowicza, rozmyślania treści mięszanéj. Czasami odzywa się głos z góry, czasami z dołu, niekiedy występują na scenę wodzowie, kapłani, biesiadnicy, fabrykanci, czasem mrok panuje, czasem słońce wschodzi. Program obfity, ale treść uboga; w całym pot-pourri motyw jeden tylko: kiedy będzie Polska i dla czego jéj Pan Bóg nie zrobił dotychczas? Otóż winni temu ci wszyscy, którzy rozumu miecze kładą na pańskie ołtarze, gdzie wino w krew się zmienia wiarą i cudami, winni ci, co do nóg cara pełzają, fabrykanci co chcą Polskę bogacić i ten tłum, któremu celem życia — zabawa. Tylko przez cierpienie i wiarę uzyskać możemy niepodległość. Nastąpi to jednak niezawodnie podług zapatrywań autora, chociaż w sposób dziwny może dla nas ludzi zwykłych i niewiernych. Na stronie 51 poematu odzywa się głos z ulicy: „jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“, chór w polu: „Boga Rodzico! Dziewico!“ i tłumy ludów idą od zachodu ku wschodowi, pośrodku wódz bez broni, trzymając chorągiew białą z czerwonym krzyżem, — a kartę daléj, w roku 187... wschodzi słońce, a chór w obozie pełnemi śpiewa piersiami: „Te deum laudamus.“ — Na zakończeniu małe plat doux: Resurrecturis, wiersz Wiktora Laprade i pieśń polskiego ludu. — Autor spisał, jak powiada w przedmowie, większą część tych pieśni onego czasu, gdy w sromotnym letargu drzemał duch ujarzmionego narodu, parę lat przed rozpoczęciem powstania. Idea poematu była w tych latach na czasie, — nie dziwimy się więc, że autor myślał i pisał w tym duchu. Od téj chwili postąpiliśmy znacznie, wyrzekliśmy się raz na zawsze wszelkich męczeń-

sko-bohaterskich mrzonek, zaczynamy pracować trzeźwo i sumiennie, mamy zamiar potem czoła i owym fabrykanckim rozumem wywalczyć sobie niepodległość, cierpiąc nie dla fantazji ale z musu, wierząc w opatrzność Boską i sprawiedliwość, nie dla tego, że się spełnić musi, ale dla tego, że na jéj spełnienie zapracować sobie myślimy. Autor widząc tę zmianę, powinien był przynajmniéj, jeźli zgodzić się na nią nie może, uznać swój poemat za niewczesny i jako starożytność zachować w swéj tece. Publikować go w rocznicę rozbioru i zanosić w upominku rodakom, to krok do reszty niewczesny. Szanujemy dobre chęci autora, ale upominku przyjąć nie możemy; byłby to mimo woli autora prawdziwie dan..usowy podarek. — Tyle co do całości i zasadniczéj myśli poematu. O pojedynczych pieśniach nic lepszego powiedzieć nie można. Nie wiemy, czy autor pisząc je, zaliczał się do grona dorastającéj młodzieży, — pieśni noszą piętno młodzieńczych utworów. Słów, jęków, narzekań, zużytych frazesów tysiące, głębszéj myśli trudno wyszukać. Oryginalnym jest wierszyk na stronie 13: niewolnikowi znudziło się widocznie modlić się i rozpaczać, wpadł więc w usposobienie naiwno-wesoło-bolesne i tak sobie na nutę Lenartowicza gaworzy o swoich boleściach, aż go znowu kwilący za kratą słowiczek na ton Zaleskiego nastroił. — Od czasu stworzenia tych pieśni minęło lat kilkanaście, dziwić się w rzeczy saméj wypada, że autor dotychczas wartości ich poznać nie zdołał. —

J. M.

Położenie geograficzne jako ważny czynnik w polityce i w dziejach narodu.

Napisał

Dr. Kazimierz Szulc.

1. Są okolice, kraje, strefy ziemi, których największe zdolności, nauki, cnoty i poświęcenia ludzkie do świetnego stanu zamożności, oświaty, znaczenia i potęgi, nigdy doprowadzić nie są w stanie. Środkowa Afryka, Grenlandja, nigdy krajami ucywilizowanemi, społeczeństwami znakomitemi i państwami potężnemi nie były i nie będą.

Niema zaś przykładu w dziejach, ażeby kraje bogate, korzystnie położone, choć na krótki stosunkowo przeciąg czasu przez ludność miejscową w odpowiedniéj chwili wyzyskanemi nie zostały.

Lecz trwała pomyślność i świetność tam tylko się ustaliły na lat setki i tysiące, gdzie mieszkańcy umieli się poznać na korzyściach i warunkach swych siedzib, umieli się do nich zastosować i umiejętnie, praktycznie i starannie je wyzyskać.

My przechodziliśmy po parę razy z kolei czasy najwyższéj świetności i najgłębszego upadku. Pierwsze są dowodem pomyślnego położenia geograficznego naszych krajów, drugie nieudolności poznania i wyzyskania przez nas korzyści ziem naszych.

W obec dokonywających się przed naszemi oczyma wypadków nadzwyczajnych, przez nikogo nie przewidzianych, a brzemiennych w ważne zmiany na przyszłość, jest naszym najświętszym obowiązkiem zastanowić się gruntownie i wszechstronnie nad położeniem obecném Europy i naszém, z męzką odwagą spojrzeć w oczy rzeczywistości, powiedzieć nagą prawdę i powziąć odpowiednią do nich decyzję, zastosować się ściśle do położenia i uczynić to, co jest na czasie możebném i koniecznėm.

Nie ma tak złego położenia, z któregoby naród pomyślnie z czasem wybrnąć nie był zdolen, jeżeli stósownie do okoliczności i rzeczywistego stanu rzeczy postępuje. Owszém wielkie nieszczęścia i klęski bywają wstępem, prawie warunkiem prawdziwéj wielkości i świetności narodu. Ale i najpotężniejsze państwo może się narazić na upadek zupełny, jeżeli *uparcie podtrzymuje złudzenia*, pozbyć się ich nie może i wedle nich postępuje. Austrja i Francja bijące nam w ostatnim czasie dały tego dowody.

Nikt zaś od nas nie jest skłonniejszym do złudzeń. Już one nas wielu nabawiły klęsk okropnych i zgubią nas ostatecznie, jeżeli ich się pozbyć nie zdołamy. Te illuzje ztąd powstają, że powodujemy się fantazją, nie znajomością rzeczy; zdaniami i ludźmi schlebiającymi naszéj wyobraźni i próżności, a nie rozumem i mężami stanu i nauki.

Lubo prawie każdy z nas czuje się porówno ze wszystkimi innymi uprawniony do zabierania głosu i do decydowania o rzeczach publicznych, to jednak zbyteczną prawie byłoby rzeczą dowodzić, że polityka jest specjalnością, jak każda inna, owszém, że jest trudniejszą i ważniejszą niż wszystkie razem, bo decydującą o losie większéj części ludzi. Wymaga ona przeto więcéj zdolności i wiadomości od innych.

Ludzie stanu potrzebują przedewszystkiém znać dokładnie instytucje, ustawy, prawa, traktaty i zwyczaje nietylko swego własnego kraju, ale i wszystkich państw sąsiednich i znaczniejszych. Muszą być obeznani z dziejami narodowemi i powszechnemi i znać tendencje i charakter nietylko ważniejszych ludów, ale i ludzi w świecie. Właściwe lub niewłaściwe ocenienie osób, jak n. p. Alexander II, cesarz Napoleon, Cavour, Bismarck, Wielopolski, Hohenwarth, może stanowić o zgubie lub zbawieniu całego narodu i państwa. Znajomość ludzi jednakże jest raczéj sztuką niż nauką, którąby za pomocą studjów nabyć można.

Lecz ważniejszą jeszcze rzeczą dla męża Stanu, niż znajomość ludzi, którzy się zmieniają, jest znajomość kraju i jego właściwości, które prawie są niezmienne, a do których ściśle wszystkie swoje kroki publiczne, politykę, gospodarstwo narodowe zastosować musi, jeżeli nie chce swego narodu narażać na straty, zawady i niebezpieczeństwa.

Najgenjalniejszy człowiek zmarnuje swoje zdolności, jeżeli się na nich nie pozna, lub jeżeli do nich się nie zastosuje. Jeżeli gospodarz nie pozna się na własności ziemi i warunkach miejscowych i do nich ściśle się nie zastosuje, jeżeli będzie budował cukrownię, szklanną hutę i tartak tam, gdzie trzeba stawiać gorzelnię, cegielnię lub młyn, (utrzymywał stadninę gdzie należy zaprowadzić krowiarnię), drenował tam, gdzie trzeba zaprowadzić irrygację, to i z najlepszéj posiadłości zamiast zysków, tylko straty mieć będzie.

Zresztą i najżyźniejsza ziemia bez wody, najurodzajniejsze ustronie bez pewnéj komunikacji i należytego bezpieczeństwa nie na wiele się przyda. To téż jak kolonista i gospodarz osiedlając się powinien pomyśleć o wszystkich tych względach, tak i naród i jego rządy nie powinny tego rodzaju rzeczy z oka spuszczać, jeżeli swego społeczeństwa nie chcą prędzéj czy późniéj na klęski i zagładę narazić.

2. Większa lub mniejsza pomyślność, większe lub mniejsze znaczenie jakiéj osady lub społeczności, zależą

od jéj położenia mniéj lub więcéj pod względami powyższemi korzystnego i zużytkowanego.

Jak największa nawet armja bez koncentracji, bez porządku, bez jedności, systematyczności, bez zajęcia ważnych punktów pod względem zaopatrywania się w żywność, w wodę, pod względem komunikacyjnym i strategicznym, przez wiele mniejszą, ale skupioną, dobrze prowadzoną, zniszczoną być może i bywa, tak też i naród, który zaniedba zabezpieczyć sobie lub pozyskać wolną i bezpieczną na wszystkie strony komunikację, który zaniecha zająć i strzedz obronnych z natury stanowisk, prędzéj czy późniéj upaść musi.

Najusilniejszém przeto staraniem wszystkich narodów jest pozyskać naturalne granice, mianowicie z jednéj strony łatwą, wolną i bezpieczną komunikację wodną na wszelkie strony świata, ze wszystkiemi narodami kuli ziemskiéj, a z drugiéj strony łatwe do obrony pozycje przeciw swym sąsiadom. Kraje i narody, które tym potrzebom nie umiały zaradzić, jak starożytne ludy Indji, Mezopotamji, Egiptu, Palestyny, Azji Mniejszéj, stawały się zdobyczą swych sąsiadów, przechodziły ciągle z ręki w rękę i pomarniały po największéj części zupełnie. Ze starożytnych ludów Azji tylko Japończycy, Chińczycy, Persowie i Arabowie zdołali się utrzymać, zajmując przestrzenie, wzmacniając i strzegąc silnych punktów, ważnych i niezbędnych dla swobodnéj na wsze strony komunikacji, jako i dla obrony i bezpieczeństwa.

Chińczycy wzmacniając naturalne swe granice, wybudowali największe w świecie fortyfikacje, znany mur chiński.

Żadna jednakże część ziemi nie przedstawia tylorakiego rozczłonkowania i takiego wyosobnienia rozmaitych krain, jak Europa. To też nigdzie nie wyrobiło i nie utrwaliło się tyle indywidualności narodowych, co w téj części ziemi. Naród grecki pierwszy jest wiernéem odbiciem przyrody swego kraju, którego właściwości umiał wybornie wyzyskać na rzecz swego rozwoju, dobrobytu, swéj wolności i niepodległości. Podobnież Włochy, Hiszpanja, Francja, Anglja, Danja, Norwegja, Szwecja zawdzięczają jedność, niepodległość, wolność i pomyślność szczęśliwemu położeniu, wyraźnie na wsze strony zarysowanemu i łatwo obronnemu, a dozwalającemu pomimo tego komunikować się bezpośrednio ze wszystkiemi narodami świata, a nie za pośrednictwem jedynie swego sąsiada, po największéj części nieprzyjaznego. W razie danym są one więc w stanie zaopatrzyć się z łatwością we wszystkie potrzeby a nawet w pomoc zbrojną ze strony wszystkich narodów świata, mimo i przeciw złéj woli swych sąsiadów.

3. Z tego wynika jasno i konsekwentnie, że narody, które nie mają zawsze na wsze strony bezpośredniéj komunikacji morskiéj, muszą uledz z czasem, choćby były najpotężniejsze, swym sąsiadom daleko od nich nawet słabszym, ale posiadającym tę komunikację. Otóż prosta i jedyna przyczyna, dla któréj Czechy i Węgry utraciły swoją samodzielność, mimo granic najobronniejszych, dla czego upadła Polska rozległa, waleczna i z natury bogata, ale pozbawiona silnych granic naturalnych i bezpośredniéj styczności z otwartemi zawsze na wszystkie strony morzami. Oto powód, dla którego byłaby musiała upaść, chociażby nawet posiadała prócz ujścia Wisły, obszerniejsze wybrzeża Baltyckiego i Czarnego morza, a nie dotarła do morza Północnego i Adrjatyckiego, lub innéj części Śródziemnego, ponieważ komunikacja tych dopiéro jest zupełnie i zawsze otwarta i swobodna, podczas kiedy po tamtych jest często lodami przerwaną, a cieśninami Sundu i Dardanellów zagrożona i każdéj chwili może być zamkniętą. Państwa i narody, które Polskę od mórz tych otwartych odgraniczały, musiały się prędzéj czy późniéj stać jéj panami.

Ponieważ zaś Polska, Czechy, Węgry pojedyńczo były za słabe, ażeby dotrzeć do ujścia najgłówniejszych swych rzek: Elby, Odry, Wisły, Niemna, Dźwiny, Dnipru, Dniestru, Dunaju, jako téż do otwartego na wsze strony morza Północnego i Adrjatyckiego, i utrzymać się stale w posiadaniu ich wybrzeży, przeto chcąc sobie zapewnić bezpieczeństwo, swobodę, całość, niepodległość i byt narodowy, były bezwarunkowo na to wskazane, ażeby się ze sobą połączyć w jedno ciało polityczne za pomocą unji osobistéj i realnéj.

Poczucie téj potrzeby było nieraz bardzo żywe, mianowicie w Polsce za Chrobrego, Kazimierza Jagiellończyka i Ludwika Węgierskiego, w Czechach w czasach husyckich, w Węgrzech za Jagiellonów w czasie najazdów tureckich. Ale w żadnéj epoce nie było dosyć jasnego poglądu na rzecz, nie było dostatecznego przeświadczenia o konieczności tego połączenia. Dziś ażeby tego dzieła dokonać, tém silniejszego trzeba przekonania o jego potrzebie, gdyż po zgermanizowaniu Sławian Połabskich, obudzeniu się poczucia narodowego Sławian Południowych, Rumunów i Rusinów, po podziale Polski pomiędzy Austrję, Prusy i Rosję, unja Czech, Polski i Węgier jest o wiele trudniejszą, bo nie może być dokonaną bez poprzedniego roztrzygnięcia najważniejszych kwestji politycznych Europy, mianowicie kwestji niemieckiéj, kwestji wschodniéj i kwestji sławiańskiéj.

4. Niemcy występują od dawna i nieustannie ze swych łożysk, i zalewają wszystkie kraje okoliczne, tak, że powoli poczęły się zacierać naturalne granice ich siedzib. Nawet tak potężne góry, jak Alpy, nie były w stanie powstrzymać ich ciągłych wylewów do Włoch, którym dopiéro w ostatnich latach ledwie koniec położyć zdołano.

Tém mniéj mogły im przeszkodzić koryta Renu, owszem jego wspaniałe wybrzeża i rozkoszne doliny były raczéj dla nich powabem niż zaporą, tak że ledwie Wogezy i Ardenny zasłaniały nieco Gallów i Francuzów od ich najazdów. Ażeby Niemcom naturalny i spokojny przywrócić przebieg ich spraw wśród przyrodzonych im wybrzeży i granic, zamierzali Francuzi wyprzeć Prusy po za Elbę, usunąć ich podobnie jak Austrję całkiém z rzeszy niemieckiéj. Tymczasem Ren i Elba zostały pierwotnemi granicami Niemiec. Były niemi za czasów Cezara i Napoleona. Elba mianowicie rozgraniczała siedziby Niemców i Sławian tak w czasie Karlowingów, jak w czasie Ottonów. Ale dziś na nowo uczynić te dwie rzeki granicami Niemiec, po tylu wiekach panowania tego narodu daleko po za niemi, nie jest tak łatwą rzeczą; trudniejszą przynajmniéj i ważniejszą, jak wszystkie dotąd przez monarchów francuzkich dokonane.

Ostatecznie jeżeli Francuzi nie wyprą Prus z Niemiec, albo Sławianie ich po za Elbę do Niemiec, to ostatni będą narażeni na odparcie od Baltyku, Adrjatyku a nawet od Euxynu, jak zostali odpartymi od morza Północnego. Skoro Francja nie wyparła Prus po za Elbę, Prusy wyparły Francję po za Wogezy i nie prędzéj spoczną i zadowolnią się, dopóki nie dotrą do źródeł, wybrzeży i ujść Renu i dopóki Francja nie pozyska przynajmniéj Belgji, Limburga i Luxemburga, a Prusy prócz Niemiec Południowych, Hollandji wraz z jéj bogatemi kolonjami.

Niepodobna, ażeby tak potężne mocarstwa, jakiemi są Francja i Prusy, nie pragnęły ze sobą połączyć wszystkich państw z pokrewną im ludnością, żeby ujścia tych rzek, które przez ich kraje płyną, zechciały i mogły na zawsze pozostawić w ręku państw drugorzędnych, ażeby nie starały się pozyskać i zabezpieczyć sobie wolnéj i tak korzystnéj komunikacji, tak naturalnéj i obronnéj granicy, jaką Ren przedstawia.

Pokój pomiędzy Francją i Anglją, Szwecją i Danją, nie prędzéj był możebnym, aż Anglja zrzekła się wszelkich posiadłości na kontynencie, a Danja wszelkich posiadłości w Szwecji; aż tam kanał Kaletański, tu cie-

śnina Sund stały się wzajemnemi granicami państw sąsiednich. Czém kanał Kaletański względem Francji i Anglji, a Sund względem Szwecji i Danji, tém jest Ren względem Francji i Niemiec. Jak Anglja, która niegdyś większą część Francji posiadała, o żadnych już nabytkach na kontynencie nie marzy, tak téż Francja nie pomyśli nigdy o zdobyczach po za kanałem Kaletańskim i po za Renem, któremi dostatecznie zasłonięta, rozbroiłaby się, mogłaby równie bezpiecznie rozbroić, jak Anglja, choćby inne państwa a mianowicie niemieckie się nie rozbroiły.

Prusy nie mogłyby silniéj i korzystniéj stanąć, nie mogłyby naturalniejszych i pewniejszych mieć granic, jak gdyby pozyskały Niemcy południowe i Hollandję z jéj licznemi kolonjami, jak gdyby posiadły wszystkie kraje pomiędzy morzem Niemieckiém, Renem, Alpami i Lasem Czeskim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

Nie szukamy, ale też i nie unikamy polemiki, lecz zwykliśmy prowadzić ją tylko na polu przedmiotowém — w obec jednak napuszystych wykrzykników i osobistych wycieczek zachowujemy stanowczo milczenie, w piśmie bowiem naszém niema miejsca na frazeologiczne ćwiczenia. Tyle słów odpowiedzi komu należy.

* * *

— Wspominana w nekrologach ś. p. **Józefa Narzymskiego** ostatnia jego powieść p. t. „Trzy miesiące“ znajduje się w naszéj redakcyjnéj tece; nabyliśmy ją bowiem na własność na parę miesięcy przed zgonem nieodżałowanego naszego przyjaciela. Druk téj powieści rozpoczniemy dopiéro z początkiem następnego roku, obecnie to tylko powiedzieć możemy, iż sam ś. p. Józef uważał ją za najcelniejszą swoją pracę.

* * *

— Pani **Seweryna z Żochowskich Duchińska** obchodzi w tym roku dwudziestopięcioletnią rocznicę swego zawodu literackiego.

* * *

— Dyrekcja Towarzystwa **Oświaty ludowéj** w Poznaniu wypisała następujące **konkursa**, do których odnoszą się uwagi nasze, umieszczone w poprzednim numerze Tygodnika, pod rubryką Przeglądu literackiego:

1) Na najlepsze dziełko wykazujące potrzebę oświaty i błogie jéj skutki. Objętość dziełka 3—4 arkuszy; termin złożenia pracy do dnia 1 grudnia 1872. Nagroda konkursowa 60 tal. — 2) Wymierzone przeciwko wychodźtwu z kraju, mianowicie do Ameryki, wykazując niecne frymarki agentów, niebezpieczeństwa i smutny los, na jaki narażają się wychodźcy. Objętość 3—4 arkuszy; termin złożenia pracy do 1go grudnia 1872. Nagroda konkursowa 60 tal. — 3) Agronomiczne, podające ogólne zasady gospodarcze, oraz praktyczne środki do podniesienia kultury w posiadłościach włościańskich. Objętość 5—6 arkuszy; termin złożenia do 1go grudnia 1872. Nagroda konkursowa 100 tal. — 4) Powieść dla ludu, osnutą na tle historycznem, z uwydatnieniem mianowicie postaci ludowych. Objętość 6 arkuszy; termin złożenia do 1go stycynia 1873 Nagroda konkursowa 100 tal. — 5) Popularną geografję ogólną, a w szczególności geografję Polski z uwzględnieniem przemian terytorjalnych, jakie zaszły w rozwoju dziejowym. Należy dołączyć kilka map, uwydatniających główne przemiany terytorjalne. Objętość 6—7 arkuszy; termin złożenia do 1 marca 1873. Nagroda konkursowa 150 tal, 6) Popularny wykład o ziemi i głównych ciałach niebieskich (słońce, księżyc, gwiazdy), o atmosferze i ważniejszych w niéj przemianach i zjawiskach (wiatr, deszcz, śnieg, grad, grzmot piorun, zorza północna). Objętość 6—7 arkuszy; termin złożenia do 1 marca 1873. Nagroda konkursowa 150 tal. — 7) Historję polską w życiorysach znakomitszych postaci dziejowych (w chronologiczném następstwie). Objętość 10 arkuszy; termin złożenia do 1 marca 1873. Nagroda konkursowa 200 tal. — 8) Na najlepsze dziełko, wyświecające prawa językowe, służące narodowości polskiéj pod panowaniem pruskiem. Objętość do 3 arkuszy; termin do 1 stycznia 1873. Nagroda 50 tal.

Prace opatrzone osobném godłem bez nazwiska autora, winny być złożone w powyżéj oznaczonym czasie do rąk prezesa Towarzystwa Leona Śmitkowskiego w Poznaniu, Hôtel du Nord. Ogłoszenie prac, którym nagroda konkursowa została przyznaną, nastąpi w swoim czasie w pismach publicznych; prace premiowane przejdą na własność Towarzystwa.

* * *

— Bawili przez dni kilka w naszém mieście: znakomity badacz dziejów **Wacław Aleksander Maciejowski** p. **Juljan Ochorowicz**, autor dzieł psychologicznych i pan **Jan Maurycy Kamiński**, autor kilku prac pedagogicznych i prawniczych.

* * *

— Pan **Jarecki**, dyrektor lwowskiéj orkiestry teatralnéj, ułożył muzykę do pieśni p. n. „**Straż nad Wisłą**“, którą tu powtarzamy:

O święty kraju nasz,
Nie damy cię na łup,
Nad Wisłą czuwa straż —
Zwycięztwo albo grób.

Świecie, wszak męki, łzy
I polskie boje znasz,
Choć tak potężnyś ty —
Nad Wisłą czuwa straż.

O Boże z tronu, z gwiazd,
Dzień wolny dać nam każ,
W obronie smutnych gniazd —
Nad Wisłą czuwa straż!

* * *

— **Bibljoteka umiejętności przyrodniczych**. Donoszą nam z Krakowa, że pod tym tytułem wychodzić tam zacznie pismo poświęcone naukom przyrodniczym, w zeszytach miesięcznych po pięć arkuszy, z kroniką i bibljografją nauk przyrodniczych na okładce. — Mają to być tłomaczenia z obcych języków dzieł popularnych przyrodniczych, których literatura nasza wcale nie posiada, a w które angielska, włoska i niemiecka tak obfituje.

Redakcję objął znany z kilku prac na tém polu Ludwik Masłowski. — Udział w komitecie redakcyjnym przyjęli dotąd z wielu zaproszonych: Dr. Skiba, docent uniw. jag. — Dr. Nowicki, prof. uniw. jag. — Dr. Czyrniański, prof. — Dr. Radziszewski, prof. uniw. lwow. — Dr. Karliński, prof. uniw. jag. — K. Przeciszewski.

Wydawnictwo podejmują **W. Tomaszewicz** i **A. Dygasiński**. Szczęść Boże ich poczciwemu i tak pożytecznemu wydawnictwu.

Dodać jeszcze musimy, że cena w drodze prenum. bardzo przystępna — rocznie złr. 6 w. a. — potrzeba bowiem zważyć, że pismo to wymaga wielu drzeworytów, pomnażających więcéj jak w dwójnasób koszta druku.

— Czasopismo niemieckie „Im Neuen Reich“ umieściło rozprawę G. Freytaga p. t. „**Die Tragoedie von Thorn im Jahre 1724**“, dotyczącą głośnéj i smutnéj w dziejach naszych katastrofy, o któréj szeroko już pisali tak nasi jak zagraniczni historycy. Nie wchodząc z umysłu w rozpatrzenie treści artykułu p. Freytaga, polecamy go uwadze bliżéj w téj sprawie interesowanych pisarzy, a mianowicie autora drukowanéj w Przeglądzie lwowskim pracy: „Czy Jezuici zgubili Polskę?“

Skrzynka do listów.

— X. J... T... z K...: Rachunek ostatnią przesyłką zupełnie wyrównany.

— P. Annie z nad Bałtyku: pan Henryk Schmidt mieszka w Alzacji, w Saint-Louis. Listy odbiera poste restante.

— P. K... N... z pod Inowrocławia: Stósownie do życzenia wysłaliśmy „Kucharkę litewską.“

— P. Władysławowi Belzie: Serdeczne Bóg zapłać i pozdrowienie.

P. M... K... w N...: Nadesłana pryedpłata starczy do końca roku.

— P. Bolesławowi G. z pod Sądowéj Wiszni: Za nadesłany Noworocznik dziękujemy najuprzejmiéj.

(Nadesłano.)

Odezwa.

Do N. N. — Thorn — odesłano. — X. X. proszę bardzo o wiadomość o sobie z zupełném zaufaniem.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.